

## Czwarty mędrzec :: ze Wschodu ::

Powiadają, że w on czas, kiedy na niebie zabłysła gwiazda przedziwnej piękności i blasku, wskazując drogę do Betleem w ziemi Judzkiej, zobaczyło ją czterech mędrców ze Wschodu.

Mędrzy owi zrozumieli, że narodził się Zbawiciel świata, Pan nad Pany przez proroków wieszczony i oczekiwany. Pojeli, iż zstąpił na ziemię w dalekiej krainie w mieście Betleem wedle słów prorocstwa:

„I ty Betleem, ziemio Judzka, z żadnej miary nie jesteś najpodlejsze między książęty Judzkimi, albowiem z Ciebie wynijdzie wódz, który będzie rządził lud mój Izraelski.“

Postanowili czterej mędrzy wyruszyć w drogę daleką, aby złożyć hołd Królowi i ofiarować mu dary.

Wyznaczyli sobie miejsce wspólnego spotkania, ale trzech tylko przybyli na umówiony punkt zborny. Czwarty towarzysz spóźnił się. Wybrali się więc ci trzech w podróż bez niego.

Bez szczególnych przygód i przeszkód dotarli do miasta Betleem i znaleźli tam Dzieciątka w żłobie. Jako Panu, cześć Mu oddali i dary złożyli w ofierze: złoto, kadzidło i mirrę!

Czwarty mędrzec spieszył także na umówione miejsce, ale w drodze spotkał człowieka, którego rozbójnicy poranili i obrabowali.

Zabiło litością serce mędrca. Jął opatrywać rany onego człowieka, posadził go na swego konia i pocieszał słodkimi słowy.

Ale poszkodowany płakał wciąż i jęczał:

— Co ja pocznę nieszczęsny!... Niegodziwcy zabrali mi całe moje mienie! Jestem teraz żebrakiem!...

Nagle posłyszał mędrzec głos przesłodka, a jednak tak mocny, jak najsilniejszy nakaz:

— Oddaj mu jeden z klejnotów, które wiesz dla Króla!

Nie wiedział mędrzec, czy głos ten rozbrzmiewa

kędyś poza nim, czy to przemawia jego własne serce, ale słuchać musiał.

Wziął ze sobą dla Pana trzy precudne kamienie: dyament jasny, jak słońce, rubin czerwony, jak krew i szmaragd, zielony jak morze.

Dobyl z sakwy dyament i oddał go obrabowanemu przez zbójców człowiekowi.

Potem odjechał spiesźnie, żegnany dziękczynieniami obdarowanego.

Jechał długo... bardzo długo... Gwiazda Betleemska nie gasła i wiodła go, wskazując mu drogę...

Po wielu dniach uciążliwej podróży przybył nareszcie do Betleem, ale nie zastał tam Pana.

Mieścina pełna była rzymskich żołdaków i płaczących matek. Wszędy rozbrzmiewały lamenty i żalosne skargi, bo oto okrutny król Herod wydał rozkaz, że wszystkie niemowlęta umrzeć muszą.

Mędrzec, przejeżdżając ulicami miasta, zobaczył przed jednym z domów młodą niewiastę, która padła na kolana przed żołnierzem rzymskim i błagała o litość dla dziecięcia swego.

Ale żołdak głuchy był wszelkie prośby i powtarzał wciąż uparcie:

— Oddaj dziecko!

Już wyciągał rękę, by wydrzeć dziecko z ramion matki.

— O! Ja nieszczęsna! — jęknęła niewiasta — Czemuż nie mam pieniędzy, ni klejnotów... Może dar bogaty skruszyłoby to twarde serce łatwiej, niżeli łzy matki...

Mędrzec posłyszał znowu słodki, łagodny, miłościwy głos:

— Oddaj temu żołnierzowi twój rubin!

Dobyl klejnot i oddał go żołnierzowi. Dziecię było ocalone.

Mędrzec opuścił Betleem, a długo jeszcze rozbrzmiewały za nim dziękczynne słowa i błogosławieństwa uszczęśliwionej matki. Wędrował tak długie lata, prowadzony wciąż przez niegasnącą gwiazdę, która świeciła mu we dnie i w nocy.

Wiodła go gwiazda przez lat przeszło trzydzieści.

Był w Egipcie, w Nazarecie, w Galilei, ale nigdzie nie zastał Pana.

Nareszcie zmęczony i utrudzony przybył do Jerozolimy i tam jak zwykle pytał o Króla Żydowski.

— Tak, jest! — odpowiedziano mu z szyderczym śmiechem — Jest tutaj Król żydowski... Jeśli chcesz zobaczyć ciekawe widowisko, to spiesz się, chodź z nami... Idziemy właśnie patrzeć, jak będzie umierał haniebną śmiercią na krzyżu.

Posmutniał mędrzec i odwrócił głowę.

Wówczas zobaczył smukłego, pięknego młodzieńca, który miał ręce związane.

Młodzieniec rucił się do nóg mężczyźnie o twarzy twardej, surowej i prosił o zmiłowanie.

Winien był temu człowiekowi pewną kwotę pieniędzy, a że zapłacić nie mógł, uprowadzono go w niewolę.

I znowu ozwał się ów głos dwakroć już przez mędrca słyszany:

— Oddaj mu twój szmaragd!

Mędrzec wyjął kamień i obejrzał go. To był ostatni dar, jaki zachował dla pana swego, a jednak oddał go posłuszny wewnętrznemu nakazowi.

Młodzieniec odszedł wolny, płacząc z radości.

Nagle ściemniło się, nębo pokryło się czarnymi chmurami, ziemia zatrzęsała się. Poczęły się walić mury. Jeden z oderwanych kamieni ugodził mędrca tak silnie w głowę, że padł na ziemię.

— Umieram! — zawołał — Nie będę mógł oglądać już oblicza Pana mego! Nie mam już dla niego żadnego daru! Snać nie go dzien byłam łaski.

Zaledwie wyrzekł te słowa, dziwnie łagodne jakieś światło rozdarło ciemności i w poświacie ukazała się promienna postać Człowieka.

Długie złote włosy spadały mu na ramiona, oczy jaśniały jak gwiazdy, wyciągnięte ręce były przebite.

Oblicze promieniało mu nieziemską, bezmierną dobrocią. I tym samym słodkim głosem, który po trzykroć ozwał się w sercu mędrca, przemówił:

— Szukałeś mnie, a jestem zawsze z tobą. Cokolwiek uczyniłeś najnudniejszemu z braci moich, mnie samemu uczyniłeś!

M. J. M.

Adam Wiaryga Minieski.

## Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

14 Walczakowa spostrzegła go już także. Podbiegła do wagonu, a za nią pospieszył lokaj dworski, aby wziąć z przedziału walizę gościa.

— Ludwiś!

— Anielka! Jak się masz? Tyle lat! Tyle lat! Cóż u was słychać? Ciocia Krzysia podobno w Szwajcarii?... Jak że się miewa twój mąż?

— Dziękuję ci, o wiele lepiej! A ty jak się czujesz?... Ależ zmieniłeś się... zmężniałeś, tylko bardzo mizerny jesteś... No, to nic nie szkodzi, odpasimy cię tutaj, odchuchamy na świeżem powietrzu, na wiejskim mleku... A cóż u was? Ciocia zdrowa? A Janka, czy bardzo wyrosła? Pisała mi, że chodzi do gimnazjum.

Zanim Ludwik zdążył odpowiedzieć, Anielka spojrzała na Józię, która stała trochę na uboczu ze skromną, układną miną.

— Ach, przepraszam!... Zapomniałam cię przedstawić. Ludwik Kłazycki, mój kuzyn — panna Józia Maliniewiczówna — moja przyjaciółka.

Biały kapelusz pochylił się wdzięcznie.

Ludwik zdrową ręką swoją uściśnął podaną sobie małą, ciepłą rączkę... Przez palce jego przebiegło coś, jak elektryczny prąd...

Spojrzeniem wytrawnego znawcy urody niewieściej objął i ocenił w jednej chwili i czysty błękit oczu, w głębi których migotały jakieś figlarne ogniki, i świeżość ust dziwnie ponętnych, jakby do pocałunku wyzywających, i cerę białą, matową, delikatną, i całą postać kształtną, gibką, a okrągło zarysowaną. Odczuł, że dziewczyna ta ma w sobie niepokojący urok, napół dziewczęcą naiwnie zalotnego, a napół dojrzałej kobiety, świadomej swych czarów.

— Dyableśnie ładna buzia — pomyślał — to pięknie ze strony Anielki, że ma taki dobry gust w wyborze przyjaciółek...

— Chodźmy — nagiła Walczakowa. — Powóz czeka...

Kiedy Ludwik usadowił się w powozie naprzeciw pań, spojrzął znowu uważnie na Józię.

Dziewczyna uśmiechnęła się leciutko, prawie nie-

dostrzegalnie. Tylko kąciki ust jej drgnęły, ale oczy roześmiały się bardzo wyraźnie.

— Oho! Umiemy kokietować i to dobrze — zdecydował Ludwik. — Coś mi się zdaje, że ta aksamitna koteczka ma dobrze schowane, ale bardzo ostre pazurki...

### ROZDZIAŁ IX.

Nauczyciel w Zalesinkach, Władysław Michnik, zjadł pospieszenie swój skromny obiad, składający się z kwaśnego mleka, kromki żytniego chleba i ziemniaków, okraszonych słoniną.

Wziął słomkowy kapelusz, niepewny już świeżości i wyszedł z mieszkania, kierując się połą drogą w stronę dworu.

Zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, zatrzymał go chłop, stary już, ale jeszcze bardzo czerstwy mężczyzna.

Chłop ukłonił się z przyjaznym uśmiechem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odparł młody nauczyciel — macie do mnie jakiś interes, Zawada?

— Juści, że mam... Zenię się, to i chciałem prosić, żeby mi pan nauczyciel był za świadka... Będzie to dla mnie wielki honor...

Zawada mówił wprawdzie, że będzie to dla niego „wielki honor“, ale w głosie jego brzmiała tylko przyjazna prośba, bez żadnej uniżoności.

— Co? Zenicie się? — zdziwił się Michnik. — A z kim?

— A z Maryną z Pazdurówki.

— Zmiłujcie się, Zawada, taka młoda dziewczyna!

— To i co? Nie wie to pan nauczyciel, jako powiadają: „Dziewka się rodzi, chłop za plugiem chodzi, a jeszcze mu się godzi“... Teraz w tym czasie wojny, to dziewczki okrutne na chłopów łase, bo nima z czego wybierać... Jeszcze jak dobre gospodarstwo jest, każda polec, choćby jej szesnaście roków było... A ja ta choć nie dzisiejszy, ale jeszcze nie ułomek, nie cbyrlok, niejednego młodego przeskoczę...

Michnik kręcił powątpiewająco głową. Stała mu przed oczyma dziewczyna wysmukła, zgrabna, gibka, jak młoda brzoza, z twarzą kwitnącą zdrowiem, bujną młodością, weselem.

— Widzicie, kiedy to zawsze... Za świadka będę wam chętnie, ale...

Niby pan nauczyciel myśli, że to stary młodej baby nie upilnuje, że się jej figlasy i zaloty będą

trzymały... No, niechby ta!... Jeszczem ja, dzięki Bogu, krzepki — jakby potrza było, to pięścią abo czym twardszem pomacać zdołę... Jak chłop nadto miętki, to mu baba na łbie kołki czesa, czy on stary, czy młody... Ot, tak i było z Kubą Sojką, choć chłop był młody i zgrabny, jak świeca... U mnie tak nie będzie!

— No, to szczęście wam Boże! — rzekł nauczyciel, zaniechawszy próżnej perswazyi. — Kiedyż niesiecie na zapowiedzi?

— Ano, jutro... Nie zapomni pan nauczyciel?

— Nie, będę.

— Pozdrówcie Marynę odemnie!

Rozstali się. Nauczyciel poszedł dalej.

Z tonn, jakim Zawada przemawiał do Michnika, wyczuć można było przychylność i zaufanie, z jakim chłop nie często odnosił się do „panów“. Bo też Władysława Michnika nazywano w całej wsi „nasz“, lub „chłopski“ nauczyciel.

Był on jednym z tych, którzy mogą o sobie powiedzieć z poetą:

„Ukochałem biedny lud nad miarę,  
Bom się jego pieśnią wykołysał...“ \*)

Sam syn chłopca i to dość ubogiego, po skończeniu seminarium nauczycielskiego, powrócił na wieś. Nie tyle może z pobudek wyższego idealizmu, przejęcia się myślą o apostolskiej misji nauczyciela wiejskiego, ile dlatego, że pomiędzy chłopami na wsi czuł się najswobodniej i najlepiej.

Miasto przerażało go poprostu swoim zgiełkiem, wrzawą, życiem zbyt bujnym, zanadto ruchliwym.

Instynktownie obawiał się tych łatwych uciech i rozrywek, których tak obficie dostarczają zaufki miejskie. Na posadzkach zaś salonów poruszać się nie miał i nie chciał nawet.

Była to natura cicha, skromna, prostolinijna, ale głęboka. Umysł miał niezbyt lotny, lecz gruntowny. Czytał powoli — za to każdą książkę przeczytaną przemyślał należycie.

Z warunków skromnego życia, czuł się zadowolony, a pracę swoją ukochał całą duszą.

Nie zasiadał wprawdzie w żadnych komitetach, ani wydziałach, nie przemawiał na wiecach i nie pisywał artykułów do gazet — nazwiska jego nie wymieniali żadne pisma pośród szeregu działaczy oświatowych, ale obowiązki swoje spełniał dobrze,

\*) Władysław Orkan.